Kolekcja
Emila Kornasia

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
CZYTELNIA
w Opolu

Należytość pocztową uiszczono gotówką.

Nr. 69 Lwów, 15 Czerwca 1930 Rok VII

PANTEON POLSKI

Poświęcony Kronice Walk o Niepodległość, Bohaterstwu
Żołnierza Polskiego i Pamięci Poległych o Wolność Polski.

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA POD REDAKCJĄ Z. ZYGMUNTOWICZA

Lwów-Skrytka 98. PKO. Warszawa 152.930. — Kwart. zł. 2.50. CENA EGZ. 1 ZŁ.

MATKOWSKI WŁADYSŁAW.

NA POLACH MOŁOTKOWA

2 listopada. Nocą oziębiło się powietrze i chwycił lekki mróz. Około południa przyszedł patrol piechoty do dworu z oficerem na czele z zapytaniem czy niema u nas rannych. Pokazałem wszystkie pokoje, przeglądnęli i wnet odeszli. Nad wieczorem, kiedy dobrze się ściemniło, przyszedł do nas chłop mi nieznany. Przyprowadził go miejscowy wieśniak, który mi szepnął na ucho: to nasz „ochotnyk". Był to legjonista Reszka, siedmioklasista z Bestwiny. Opowiedział nam swe niezwykłe przygody. W czasie bitwy pod Bzowaczem ubiegłego czwartku przyszło do ataku na bagnety. W okrótnem uderzeniu pierś o pierś uczułem nagle silne uderzenie w rękę, a potem zaraz w głowę. Straciłem przytomność i padłem na ziemię. Leżąc, oprzytomniałem i kiedy sanitarjusze mnie podnieśli, stwierdzili, że jestem ranny i oddali mnie piechocie. Ta odstawiła mnie do trenu, gdzie wsadzono mnie na wóz obok dwóch innych. Siedzieliśmy tak, otoczeni kozakami, do wieczora. Obserwowałem swe otoczenie pilnie i ciągle przemyśliwałem, jakby się z tej matni wydobyć. To też kiedy się nieco ściemniło i gęstsza mgła zaległa, a kozacy zajęci byli „czajem" i rozmową, zsunąłem się z wozu

Dworek Mołotkowski. Autor pamiętnika (na prawo) w otoczeniu rodziny. Pani Matkowska (wł. dworku) siedzi (w sweterze). W głębi pułk. J. Haller i adjutant ppor. Szul. Obok panny Matkowskie, Stauflerówna na prawo — ochotnik Stefan Werstiuk, który zgłosił się pierwszy do Legjonów.

i niespostrzeżony umknąłem. Dopadłem bróg z sianem — wdrapałem się nań i zakopałem się w sianie do samego spodu. Tak przesiedziałem skostniały 24 godzin! Przyparty głodem i chłodem, wylazłem z mej kryjówki i wszedłem do chaty. Dali mi jeść i przebrali w chłopskie rzeczy, poczem zakopałem się znowu w sianie. Obok brogu słyszałem ruchy i rozmowy kozaków i skóra na mnie cierpła, by mnie nie odkryto. Wytrzymałem tak dziś czwarty dzień, kiedy mi gospodarz dał znać, że przeprowadzi mnie do dworu". Nakarmiliśmy dzielnego legjonistę, przenocowali i przebrali na cywila i rano wyprawiłem go ku Bitkowu, dając mu przewodnika przez las.

3 i 4 listopada. Rano odszedł Reszka, a niedługo po nim przyszli dwaj lekarze rosyjscy. Wypili śniadanie i pogawędziwszy, odeszli. Nad wieczorem zabrali Moskale dwóch legjonistów rannych, którzy od tygodnia ukrywali się w sąsiedztwie. Wspomagaliśmy ich winem i jadłem, ale ran nie było czem opatrzyć a dokuczyły im tak, że prosili chłopa, by ich oddał kozakom, co też nastąpiło. Przy wsadzaniu ich na wóz, popędzali kozacy nielitościwie kolbami rannych, by prędko wlazili na wóz, nie zważając, że byli ranni w nogi.

6 listopada. We dnie przyszedł do wsi nowy patrol i sotnia kozaków. Do dworu wszedł czerkies w białym dolmanie i białej papasze z żądaniem, by dać mu kwaterę. Był w towarzystwie dwóch starszych kozaków i mówił z cudzoziemska po polsku. Oglądnął pokoje i orzekł, że będzie dość miejsca dla całej sotni. Struchlałem, bo tyle się nasłuchałem o barbarzyńskiem kwaterowaniu kozaków w pałacach wraz z końmi i gnojem, że zacząłem go prosić o względy. Przyrzekł, że zwróci uwagę komendanta, iż brak pomieszczenia dla koni, bo budynki gospodarcze są spalone. Ów biało odziany czerkies opowiadał sam, że mówi kilkoma językami i wyglądał na żydka, a musiał być szpiegiem cywilnym. Dwaj bowiem kozacy, towarzyszący mu, traktowali go lekceważąco, a więc widocznie nie był żołnierzem. Obserwowałem go uważnie, kiedy oglądał ręce i obmacywał włosy Opieńskiego, którego przedstawiłem jako nauczyciela, a kpt. Zaleskiego jako oficjalistę. W zamieszaniu po bitwie zapomniałem zapisać, że pułk trzeci, wyjeżdżając ze dworu, zostawił chorego rzekomo podporucznika 14 komp., który miał być w myśl mego zawiadomienia do pułku, zabrany dnia następnego po wyjeździe pułk. Hallera. Zgłosił się wprawdzie sanitarjusz, by zabrać chorego, który leżał sam w pokoju na górze, ale podpor. odpowiedział sanitarjuszowi, że jest oficerem i należy mu się wóz ambulansowy. Posłaniec odjechał, zaś pan podporucznik został, a tymczasem nastąpiły opisane wypadki. Został więc między nami i zaraz wyzdrowiał, a nadewszystko zamiast w szeregu walczyć z nieprzyjacielem, przesiedział z nami w piwnicy, przebrany za cywila. Podpor. 14-ej komp. 3 pp. nazywał się Opieński. Notuję ten fakt, bo z czasem zacierają się szczegóły w pamięci i po latach będzie miał wiele do opowiadania o bohaterskiem potykaniu się z nieprzyjacielem w onej pamiętnej w historji legjonów bitwie, i to taki właśnie, który nie wytrzymał ogniowej próby i załamał się moralnie.

Otóż ów czerkies przystąpił do Opieńskiego i oglądając ręce jego i obmacawszy włosy na karku, czy były świeżo strzyżone — wypytywał go co zacz, co tu robi i czy nie jest saldatem? Łypnął potem podejrzliwie na „oficjalistę" i zadowolony widocznie z egzaminu, polecił przygotować obiad na pięć osób i odszedł do swej sotni. Około południa przyjechało czterech i ów czerkies. Do pokoju wszedł asauł i „poruczyk", jak go tytułowali dwaj starsi kozacy — zapewne sierżanci, bo usunęli się wraz z czerkiesem do kredensu obok kuchni. Podano obiad, a do noszenia potraw pchnąłem „oficjalistę", by odwrócić uwagę badawczą oficerów kozackich od niego. Swoją drogą „oficjalista" robił pocieszne wrażenie. W przykrótkich pantalonach i ciaśniutkiej bluzce mego bratanka, z twarzą nieogoloną i doznanemi przejściami zbiedzoną, robił wrażenie podupadłego i biednego służącego, ale przenigdy niktby się domyślił, że pod tym strojem krył się kapitan 15 komp. legjonów polskich. W duchu zastanowiłem się nad tą ironją losu, który kazał usługiwać nieprzyjacielskim oficerom ich naturalnemu wrogowi. Do obiadu podałem wino oficerom i kozakom, którzy się jeszcze rano o nie upominali. Musiałem wpierw sam się napić, poczem wypili po lampce tylko, podziękowali po polsku i oświadczyli, że nie będą korzystali z kwatery, lecz zostaną przy sotni. Okazało się, że asauł był pono Polakiem, inżynierem górniczym z Kaukazu, który jako oficer rezerwowy został przydzielony do kozaków. Ot i wyjaśnienie tego przyzwoitego zachowania się kozaków...

Tymczasem w czasie pobytu kpt. Zaleskiego porozumiewaliśmy się przez zaufanych posłańców z Bitkowem, w jakiby sposób przeprowadzić go do swoich, którzy pono byli w Pasiecznej i jak przetransportować mundur i uzbrojenie kapitana. Ułożyliśmy, że garderobę i broń będę składał w umówionych dniach pod oznaczonym krzakiem, a oni zabierać będą przed wieczorem. Dzień wymarszu kapitana oznaczą i przyszlą zaufanego. I rzeczywiście 9 listopada przyszedł rano p. Matusik z Bitkowa, by przeprowadzić kpt. Zaleskiego. Żegnany serdecznemi życzeniami szczęśliwej drogi, poszedł do Bitkowa w letniem ubraniu i lekkiej zarzutce, jako oficjalista — na wszelki wypadek do inkasowania należytości za dostarczone przez nas towary. Później poszły za nim rzeczy. Od p. Matusika

dowiedzieliśmy się, że od 30 października przeprowadzili kilkaset legjonistów szczęśliwie do Pasiecznej i dalej. Zapisuję tu niezwykłą życzliwość i pomoc materjalną dyr. Tow. franc. p. Belleta, którego później austrjacy jako francuza (był rez. kpt. artyl.) wywieźli na Węgry, jak również urzędników firmy, którzy mimo wojennych niedostatków szli na rękę legjonistom i często wspierali ich z całem poświęceniem i zaparciem, bo wszystkich nas ożywiała jedna myśl: Wszystko dla zdobycia niepodległości Ojczyzny!

Tego też dnia zmarł 9-letni chłopczyna, którego w czasie bitwy dosięgła w chacie kula moskiewska tak, jak jego ojca, który jako landszturmista padł w Karpatach. Była to piąta cywilna ofiara wojenna. Takto ludność cywilna spłacała daninę wojnie światowej — nietylko mieniem i poniewierką, ale często własnem lub najdroższych życiem.

10 listopada. Zrezygnowani zapadamy w apatję. Dzień po dniu wlecze się w bezczynności, przeplatany rewizjami kozackiemi i nieodłącznym przytem rabunkiem. Służba tylko od czasu do czasu wychyla nosa, by rzucić nieco siana bydłu i koniom. O to siano z własnego brogu jest najtrudniej. Bydło porozmieszczane z konieczności po wsi, stało wygłodzone bez podściółki już drugi tydzień i tylko ukradkiem donosili parobcy siano wiązkami, bo kozacy albo nie pozwalali jechać, albo zabierali konie do zwózki siana dla wojska w Nadwórnie. Na domiar nieszczęścia nie było w domu uprzęży ni wozów, bo to wszystko spłonęło, a tu kozacy na dobre się usadowili, bo patrole ich stały dzień i noc koło plebanji. To jest fakt, a doniesienia, że był nasz patrol w Sołotwinie i że pono słyszano strzały w Maniawie, wkładam między zwykłe bajki wojenne. Realna rzeczywistość to patrole kozackie, które nam demonstrują, że zostaniemy pod panowaniem moskiewskiem, którego nie tak rychło się pozbędziemy. Na dobitkę wszystkiego zła — wymieniłem sobie za zezwoleniem pisemnem pułku dnia 26 października skonfiskowane wyrokiem polowym krowy u moskalofilów w Bitkowie. Za każdą sztukę cielną, która miała iść pod nóż, dałem do wyboru wojsku jałownik. Za powrotem mochów, pokrzywdzeni przez austrjackie zarządzenia, chcieli się odbić na mnie. 14 listopada przyjechało dwóch żandarmów, z których jeden był synem poszkodowanego starorusina i zażądał pokazania krów naszych. Otworzyłem tymczasową stajnię, lecz krów swoich tam rzekomo nie znaleźli i odjechali.

15 listopada. Dzień był pochmurny i mglisty. Zaraz z rana weszło czterech kozaków, którzy zabrali się do rewizji wszystkich pokojów, rzekomo za dokumentami, bo tu była kwatera „Sokołów". Przetrząsnęli wszystko, nawet pozamykane kufry uciekinierów. Podważali wieka kufrów bagnetami i zrabowali z kufra Romaszkanów dwie skórki krymskie oraz łyżki srebrne, a nam zabrali ostatnie 6 kg. cukru, o który tak trudno było. Druga partja poszła na strych. Ścierpła na mnie skóra, bo tam był chlebownik legjonisty z amunicją, rewolwery i ubrania legjonistów, a ponadto cały mundur kapitana Zaleskiego z rewolwerem i szablą. Jedna z panienek zagadała kozaków, a ja tymczasem ukryłem te rzeczy na poddaszu. I tu porozbijali kufry i zeszli na podwórze, obchodząc dom w około. Kazali sobie otworzyć piwnice, skąd zabrali 10 flaszek wina, w tem kilka tokajskiego, i jabłka. Obładowani poszli, a ja zabrałem się do ukrywania wina w kartoflach w piwnicy, gdzie też ukryłem walizę ze srebrem uciekinierów i pozostałą broń. Zaledwie ukończyłem robotę, która trwała z pół godziny, nadjechało znowu 5 kozaków. Jeden trzymał konie, a reszta zabrała się znowu do rewizji. Zabrali nieco jabłek i resztki wina, które zostawiłem umyślnie i poszli na strych. Jeden z nich natknął się na kiełbasę, wiszącą na poddaszu i pyta się, udając z głupia franta: „A je to czto?"; mówię: kiełbasa. „Czto to je?"; mówię: mięso. „Daj mi jedno!" odpowiadam: weź! „Zawiń mi w papier!", zawinąłem i zapraszam go na dół, bo przypomniałem sobie, że stoi w miejscu, gdzie obok była ukryta strzelba myśliwska. Zeszedł ze mną na dół i wkrótce wynieśli się wszyscy. Rewizje te przedsiębrano z powodu gadulstwa chłopów we wsi, że ukrywamy „sokołów", co było prawdą przed kilku dniami; opowiedzieli nawet kozakom, że chodziłem do lasu wypatrywać lornetą nasze wojska. W tym też kierunku byłem brany na spytki. Odpowiedziałem im krótko, że jestem Polakiem, a tam po drugiej stronie są moi krewni i tych mam obowiązek i prawo wypatrywać... Zdaje się, że moje rozumowanie trafiło im do przekonania, bo zostawili mnie w spokoju, a mieli zamiar odstawić mię do komendy.

Nerwy skaczą, jak opętane, ile razy zajrzymy tylko sylwetę kozaka, tak się nam dali we znaki, a niepewność co przyniesie dzień następny jest wręcz nieznośna. Zrozumie to — kto przechodził tę chorobę wojenną — kozakofobję... Niepodobna zapalić papierosa, ugotować potrawy, ni zjeść — bo każdej chwili może nadejść kozak i zażądać tego, przyczem cię zastanie. Około południa przyszedł kozak, by mu wydać 5 flaszek wina i worek jabłek. Ledwie wyekspedjowałem tego — wchodzi dwóch dragonów rosyjskich, — niby po wóz do wożenia siana a widzą, że wszystko spalone. Dałem im tymczasem do jedzenia kurę, przygotowaną na objad. Okazało się że jeden z nich był polakiem. Był bardzo powściągliwy w słowach i starał się mówić tylko po rosyjsku... O ile drugi — moskal — nie zwracał uwagi mówił po polsku. Odczułem, w duszy jego rozgrywający się dramat,

że jako polak musi być wrogiem swemu krajanowi, bo słup graniczny nas przedziela... On musi walczyć o całość Rosji my zaś pragniemy jej zguby! Podziękowali grzecznie zą gościnę i odeszli a drugiemi drzwiami weszło 10 kozaków. Przez pół godziny buszowali w całym domu. Przeszukali kufry i każdą szufladę, bo jak mówili: Przechowujecie broń i dajecie przytułek przebranym sokołom. Nic nie znalazłszy i po zabraniu jabłek — odeszli. Za chwilę zrobił się ruch na drodze, bo nadjechał patrol z 30 kozaków z Nadwórny, trzech z nich wyjechało ku Sołotwinie, lecz wnet wrócili. Wieczorem opowiadano, że w Sołotwinie miał być nasz silny patrol. Sama wieść wzbudziła w nas otuchę, że przecież nasi muszą być w pobliżu i mogą wnet przyjść.

18 listopada. Dzwony we wsi od bitwy umilkły jak we wielki tydzień, słusznie, bo wszak jesteśmy wśród wielkiej wojny światowej! Wczoraj nocą widać było wielką łunę w Fitkowie — za wsią Hwozd. Kozacy spalili dwór zamieszkały przez żydów. Nam zabrali konie wraz z wozem i siankiem a bydło stoji głodne pół dnia. Dziś po raz trzeci od 1 września otrzymałem gazety wiedeńskie od znajomych. Jest w nich mowa o zmianie planu strategicznego wojska niemieckie cofnęły się z pod Warszawy. Zaszło coś poważnego, skoro Austrja uciekła się do ostatecznego środka, do obrony w Karpatach.

P. S.

P. gen. broni J. Haller nadesłał na ręce autora wyjaśnienie odnośnie do wzmianki w Nr. 67 na stronie 2 i 3-ciej pod dniem 26/X. Otóż p. gen. Haller stwierdza, że z meldunku adjutanta dowiedział się o egzekucjach w Nadwórnej, wykonanych z rozkazu komendy Legjonów. P. gen. Haller zrobił z tego powodu ostre wymówki ówcz. szefowi sztabu kpt. Zagórskiemu i później opowiedział o tem państwu Matkowskim.

Również stwierdza gen. Haller, że spalenie grobowca w Bitkowie nie było dziełem 3-go pułku.

Podając to oświadczenie p. gen. broni J. Hallera stwierdzamy, że autor relacji o Mołotkowie wyraźnie zanotował, że „...pułk. Haller zawiadomił" a nie „wykonał, względnie rozkazał wykonać egzekucję", wobec tego nikt p. gen. Hallerowi nie zarzucał tego czynu. Jednak dla ogólnego wyjaśnienia podajemy to oświadczenie gen. Hallera.

MAJ A.

Z Drugą Brygadą

Zjawił się chorąży jedenastej kompanji, sprawa wyjaśniła się i patrol ruszył stępa. Podporucznik dorzucił jeszcze: „za pół godziny macie tu moskali... jadę do sztabu..., zamelduję o waszych porządkach".

O północy zluzował nas pluton pierwszy.

Odeszliśmy w tył do wsi, gdzie stała nasza kuchnia. O godzinie 3-ciej połowa plutonu powtórnie poszła na placówkę, tam pozostała do chwili przejścia 1 bat. 2 p. p., co nastąpiło po godz. 4-tej.

Pierwszy bataljon po przejściu mostu rozwinął się w linję tyraljerską, gotując się do bitwy. O godz. piątej szły już inne bataljony, również i nasz.

Z brzaskiem dnia odezwały się armaty. Biły blisko. Teraz każdy wierzył już, że dziś będziemy się bić.

Po chwili rozpoczęła się palba karabinowa. Staliśmy rezerwą w opłotkach. Przed nami padł szrapnel, nie eksplodując i nie robiąc nam szkody. Słychać było maszynowy karabin. Rozwinęliśmy się w drugą linję. Nasi parli naprzód, zajmowali Pasieczną, Pniów. Moskale cofali się. Podczas, gdy jedna komp. strzelała, inna wycofywała się. Rannych zabierali ze sobą. Nasi szli krokiem, strzelając — jak na polowaniu — czasem tylko klękali lub padali.

Pod samą Nadwórną moskale oparli się dłużej. W mieście tymczasem szykowali się gwałtownie do odwrotu. Wywracali w pośpiechu wozy, zabierali napotkane konie, biegali po ulicach. Pod wieczór weszliśmy do miasta. Ludność zrobiła nam owację.

Zaledwie bataljon nasz wszedł w ulice miasta, dostaliśmy niespodzianie ogień karabinowy. Kozacy podjechali blisko i sypnęli salwą. Przetrząśliśmy przedmieście, poczem kompanja nasza przeszła kilka razy w bród Bystrzycę, gęsto zadrzewioną wikliną. Ułani nasi ścigali cofających się daleko po za miasto. Na noc wystawiono linję placówek, reszta naszych bataljonów zakwaterowała w mieście. Jeszcze tej samej nocy powieszono w Nadwórnej jedenaście osób za rabunek i szpiegostwo. Wejście do Nadwórny było w sobotę. Następnego dnia, to jest w niedzielę, bitwy nie było, ostrzeliwały się tylko placówki.

W pierwszej bitwie straty nasze były nieduże. Zaledwie kilkunastu rannych i kilku zabitych. Pierwszego zabitego pod Pniowem napotkaliśmy pod drzewem, z za którego strzelał, przy nim było mnóstwo łusek wystrzelonych.

Prócz legjonistów, w Nadwórnej kwaterował jakiś oddział austrjaków.

Moskale okopywali się pod Hwozdem.

W poniedziałek stoczyliśmy bitwę. Atak główny prowadził Roja ze swym bataljonem, t. j. IV/2 pp. Na pozycję nieprzyjacielską bataljon ten podsuwał się skokami, padając co kilkadziesiąt kroków. Granaty rosyjskie padały celnie w miejsce linji, ale z opóźnieniem. Roja konno przebiegał przodem, w skokach, przed kompanjami. Moskale, widząc brawurowe natarcie, porwali swe armaty i wycofali się szybko.

Bataljon nasz w ciągu bitwy był rezerwą. Leżeliśmy pod jakimś płotem wierzbowym. Następnie pułk. Zieliński wydał rozkaz biedz szybko na lewe skrzydło, na wzgórze, celem przeszkodzenia w ucieczce tędy moskalom. Dwie armaty nasze również podjechały za nami. Moskale jednak obrali inny kierunek. Zostaliśmy do wieczora na pozycji, potem cofnęliśmy się na noc do wsi Hwozd.

W nocy wystawialiśmy placówki i wysyłali patrole. Również w nocy przybyła kuchnia, przywożąc kminkową zupę. Chleba nie było.

Wtorek zeszedł nam na pogotowiu, a noc na placówkach i odżywianiu się znowu kminkową zupą. We środę rano kompanja nasza odmaszerowała na placówkę w inną stronę. Robiliśmy drogę powrotną i w kierunku na wschód. Był to 28 października. Dzień był mglisty, koło południa padał drobny deszcz. Żołnierze z rezerwy placówek gotowali w chałupie ziemniaki. Nim te były ugotowane, mieliśmy alarm, a po chwili kompanja już maszerowała. W drodze napotkaliśmy maszerujący bataljon, dołączyliśmy do niego.

Dopędził nas jeździec meldunkowy, wręczył rozkaz na piśmie dowódcy naszego bataljonu kpt. Fabrycemu. Kapitan, jadąc konno, przystanął. W chwili, gdy wymijaliśmy go, mówił: dostałem trzy rozkazy, co mam właściwie robić? ja planu nie będę już zmieniał... najkrótszą drogą pomaszeruję, by uderzyć na ich prawe skrzydło... tak zameldujcie, na prawe skrzydło moskali, by tym sposobem ich odciągnąć od Bohorodczan. .

50 m. most zbudowany w jednem z najdzikszych miejsc „Przełęczy Legjonów"

Jeździec pogalopował.

Dowiedzieliśmy się później, że bataljon Roji stoi w ogniu pod Bohorodczanami już od wczoraj. A dziś moskalom przyszły posiłki i wypierają go. Również bataljon Bośniaków (wojsk austrjackich) był zagrożony i żądał posiłków.

Maszerowaliśmy tedy w kolumnie, w tym samym kierunku.

Po dwugodzinnym marszu może, lub dłużej, byliśmy na drodze wysoko położonej, która nieco dalej obniżała się w dół. Wtem padł strzał, kula świsnęła ponad nami. Zdziwiło to wszystkich, a dowódca baonu rzekł: Czyżby nas już dojrzeli? Potem wydał komendę: „Kompanje na równej wysokości! W dół!"

Mgła rozrzedziła się, rozwidniało się lepiej. Schodziliśmy szybko w dolinę, którą płynął strumyk, a opodal były chałupy. To wieś Babcze.

Zanim jednak osiągnęliśmy dystans pełnego rozwinięcia, dostaliśmy rozkaz rozwijać się. Kapi-

tan naglił: dziewiąta komp. maszerować! Florek rozwijaj się! Strzały zaczęły padać i to z bliska. Kompanja nasza, t. j. jedenasta, odbijała na lewe skrzydło. Przechodziliśmy wśród chałup. W chwili tej uczuliśmy się dziwnie głodni, a że do jedzenia nic nie mieliśmy, prócz paczki margaryny, zjedliśmy ją w kilku, skubiąc po kawałku.

Por. Sikorski wziął pół kompanji i pobiegł do polnej drogi na linję. Moskale zasypali ich gradem kul. Plutony trzeci i czwarty padły na ziemię przy chałupach. Z jednej chałupy wybiegł chłopiec kilkuletni z ciekawości przyjrzeć się żołnierzom i w tej chwili został ugodzony kulą. Lekarz nasz i sanitarjusze zajęli się nim, lecz podobno zmarł niebawem.

Nadszedł rozkaz: „drugie półkomp. do linji na zgęszczenie". Pełzaliśmy po mokrej ziemi całe stajanie pola. Kule karabinowe tak gęsto padały na nas, że dziurawiły menażki. Pewnemu żołnierzowi kula przecięła pasek na ramieniu od plecaka, innemu przebiła nasadkę u bagneta; a rannym był tylko jeden żołnierz. Wreszcie skokiem dopadliśmy linji. Rozpoczęliśmy gęsto strzelać. Moskale sposobili się do walki na bagnety. Na prawem skrzydle rozległo się: „hura!" Lasek przysłaniał nam widok.

Kompanja dziesiąta, będąca między dziewiąta a jedenastą, wysforowała się wprzód w ten właśnie lasek i omało że nie stała się pomyłka. Bylibyśmy w swoich strzelali. Na szczęście spostrzegli to dowódcy kompanij.

Moskale byli najpierw w dwóch linjach. Potem złączyli się w jedną i na nowo podjęli atak. Biegli teraz na naszą kompanję. Strzelaliśmy z karabinów z nasadzonemi bagnetami, siedząc w przydrożnym rowie. Naraz pluton drugi przestał strzelać i podniósł czapki na karabinach w górę. Struchleliśmy. Lecz ktoś woła: to podstęp. Zaprzestaliśmy również strzelać.

Moskale zrozumieli, że chcemy się poddać, zwolnili biegu i zaczęli się skupiać. A wtedy nasi sypnęli salwą. Moskale zbaranieli. Popadali na ziemię — nastała chwila wyczekiwania. Kompanja dwunasta teraz dopiero weszła na linję.

Ściemniało się. Moskale zapalili stodoły czy chałupy, by przy blasku ognia dalej atak prowadzić. Nie zrobili tego jednak i na całym odcinku bitwa została przerwaną. Wysłany od nas żołnierz „na ochotnika" przybliżył się do ich linji. Tam jeden moskal zagadywał go, dlaczego się bijemy. „Ty masz żonkę i ja mam też — naco mamy się strzelać? Chodź do nas". Tak zagadując, podchodził do legjonisty, wlekąc karabin po ziemi, a inni dwaj bokiem go zachodzili. Spostrzegł to legjonista i uciekł do swoich.

Pozostaliśmy tak do godz. 10-tej. Potem była zbiórka przy drodze. Na pobojowisku tymczasem sanitarjusze zbierali rannych i zabitych. Także moskale zaświecili latarnię z czerwonym krzyżem i zbierali rannych swoich i naszych. Jedni drugim nie przeszkadzali. Przyprowadzone wozy ze wsi odwoziły naszych — prawdopodobnie do Nadwórny. Dziewięć wozów przejechało drogą z zabitymi i rannymi. Byli to z dziewiątej kompanji, która pierwsza poszła w ogień, poczem starła się na bagnety.

Kompanja ta straciła w bitwie około dwieście ludzi, w tem trzech dowódców plutonów.

Kompanja nasza wysłała jeszcze patrol, poczem schodziła do wsi.

Zajęliśmy pobliskie chałupy na kwatery. Do każdej chałupy wpakowano jeden pluton. Mieściliśmy się w izbach, chlewie, sieni i t. d. Nikt się nie rozbierał, karabiny mieliśmy pod ręką.

Ponieważ placówki nie wystawialiśmy, wysyłaliśmy nieustannie patrole w stronę pobojowiska, a przed chałupami stały posterunki alarmowe.

W izbie, w której ja się mieściłem, było nas — prócz mieszkańców tego domu — trzech podoficerów i trzech oficerów, wśród tych dowódca komp.

Chłop dał nam trochę zgniłego siana, położyłem się i momentalnie zasnąłem. Byłem ogromnie zmęczony, ponieważ poprzedniej nocy miałem służbę kaprala dnia, a przedtem pogotowie. W jakie pół godziny potem kucharze nasi przybyli z prowiantem. Przywieźli chleb i kiełbasę z Nadwórny. Zbudziłem się dopiero o trzy kwadranse na drugą, właśnie kiedy przybył ordynans z meldunkiem, z którego tyle jeszcze słyszałem, że tamte kompanje mają stać o godzinie trzeciej na drodze frontem do Nadwórny. Po wyjściu ordynansa, usiadłem na barłogu, rozglądnąłem się, obok mnie spał plutonowy, pod oknem zaś, siedząc drzemał kapral dzienny, a na pryczy i ławach spali oficerowie. Potem dojrzałem chleb, więc bez pytania sięgałem po najbliższą połówkę.

Chorąży, który odbierał meldunek, nie spał jeszcze; widząc, że wstałem i zabieram się do jedzenia, mówi: weź sobie to, co tam stoi na piecu, a potem wyślesz jeszcze raz patrol.

Poczem zasnął, a ja zabrałem się do jadła. Zdjąłem rondel z grzaną kiełbasą na słonince, herbaty nie tknąłem, gdyż nie miałem cukru. Ale chłop, rusin, przypatrujący mi się z pieca, mówi: „uże je to dobre", więc skosztowałem, rzeczywiście była słodzona, a do tego z rumem. Napewno chłop sam też już pokosztował. Nie wdawałem się z nim w rozmowę, gdyż zdawał mi się zbyt natrętnym. Załatwiłem się też zaraz z patrolem i z powrotem usiadłem przed piecem. Zacząłem rozmyślać. Niepokoiło mnie to, że nie wiedziałem, jak tu długo będziemy i to, że kapral dzienny tak ciągle jeszcze śpi. Zbliżyłem się do niego, trącam go, mówię do niego po imieniu, lecz ten nic. Nie chciałem robić

hałasu, by nie przerywać snu innym, odstąpiłem więc od niego.

Czas szybko upływał. Minęły trzy kwadranse na trzecią, spojrzałem jeszcze raz na dziennego i wyszedłem do plutonów. Odszukałem trzy plutony, budzę je. Niebardzo chętnie wstawali, a do tego, gdy w stodole budziłem któryś tam pluton, podeptałem im trochę po głowach, bo ciemno było; usłyszałem przytem: „a co za taki budzi po nocy, kiedy kapral dzienny mówił, że o piątej pobudka!"

Nie zważałem na to, zbudziłem plutonowego, czyniąc go odpowiedzialnym za dopilnowanie plutonu. Czwartego plutonu jednak znaleźć nie mogłem, nie wiedziałem jak daleko poszedł, więc zawróciłem. Teraz postanowiłem koniecznie rozmówić się z dziennym, lecz i tym razem spał jeszcze mocno. Mojem hałasowaniem zbudził się chorąży Pawlikiewicz, zwracam się tedy do niego z zapytaniem, czy my także odmaszerujemy. Posłyszał to por. Sikorski — który już też się był zbudził — zerwał się na nogi i krzyknął: Zając! ty kapral dzienny, a ty śpisz! Trzecia godzina... ludzi budzić! Melduję tedy porucznikowi: Ja pobudziłem trzy plutony, ale czwartego nie odnalazłem. Pobiegł tam dzienny po niego, my zaś w minucie już maszerowaliśmy. Jednak spóźniliśmy się o dziesięć minut. Inne kompanje już były odeszły.

Kapral dzienny dopędził nas na drodze, niosąc na sznurku powiązane przez ramię dwa duże okrągłe chleby, które pozostały w plutonie.

Dziwnem się mi to nieraz wydawało później, że wówczas nikt zapasów nosić nie chciał, wyrzucano chętnie z plecaków różne rzeczy, a niektórzy nawet koce wyrzucali, zwłaszcza gdy kto miał celtę. Większa część żołnierzy zaopatrywała się tak, jakby tylko dzień dzisiejszy miała przeżyć. Tłumaczyć to trzeba i tem, że legjoniści byli słabi w porównaniu z żołnierzem rosyjskim, a z którym spodziewali się zetknąć lada chwila na bagnety.

W marszu tym podjechał do nas jeździec meldunkowy z rozkazem. Niebawem zmieniliśmy kierunek marszu. Maszerowaliśmy teraz na przełaj, dopędzając inne kompanje. Wyszliśmy na wzgórze „Kota 506, czy też 556". Tu mieliśmy zająć pozycję. Lecz tu przybył pułkownik Zieliński, zbeształ najpierw dowódcę kompanji dziewiątej za straty w ludziach we wczorajszej bitwie, odjął mu dowództwo kompanji. W miejsce jego kompanję objął chor. Czuma. Następnie dał rozkaz zmienić pozycje i front. Zeszliśmy na łąkę. Był już dzień.

Wysłany stąd patrol ku wsi był ostrzeliwany przez kozaków, ukrytych po za chałupą. Chłop cywil wabił naszych do chałupy, obiecując się na podwodę. To było podejrzanem, gdyż chłopi niechętnie jeździli na podwody. Bataljon nasz został przesunięty na prawo pod brzozowy zagajnik. Niedaleko zaś stała baterja, mieliśmy być jej osłoną. Było to w pobliżu kopalni nafty we Fitkowie.

Rosyjska artylerja biła z Mołotkowa, a szrapnele pękały w pobliżu nas, kłębiąc się czerwono. Artylerzyści zaczęli się „macać".

Po kilkunastu strzałach artylerja legjonowa otoczoną była chmurą dymu, musiała więc zmienić pozycję. Były to armaty górskie starego typu, do których już zaprzestano wyrabiać amunicję.

Około godziny ósmej zagrały maszynki. Oczywiście rosyjskie, bo my nie mieliśmy jeszcze karabinów maszynowych. Piechota była już w ogniu. Nastąpiło znowu przesunięcie naszego baonu. Drogą od Nadworny jechała austrjacka baterja polówek, która potem nigdzie pozycji zająć nie mogła, bo moskale zaraz ją spędzili.

Przy drodze stał nasz sztab brygady, to jest gen. Durski, kapitan Zagórski, rotm. Kunicki. Obserwowali teren walki.

Jeden z bataljonów trzeciego pułku szedł na linję wzdłuż strumyka. Kule karabinowe dosięgały go. Pułkownik Zieliński upominał oficerów, aby pojedyncze ludzi prowadzili, nie „kupą na jatki".

Potem dosiadłszy konia, udał się z adjutantami na prawe skrzydło. Moskale strzelali w nich, konie płoszyły się.

Bataljon nasz pomaszerował w ślad za nimi. Mieliśmy być rezerwą. Około godziny jedenastej prawe skrzydło zaczęło się cofać. Ujrzeliśmy bataljon bośniaków, landszturmistów, w odwrocie. Dostaliśmy rozkaz rozwinąć się natychmiast i posuwać się naprzód. Przed nami było wzgórze zalesione. Po za landszturmem skrzydło prawe wisiało w powietrzu.

Porucznik I Bdy Włodzimierz Konieczny.

W zeszycie 14-tym z 1925 r. umieściliśmy opis walk pod Kościuchnówką w lipcu 1916 r. i podaliśmy krótki życiorys por. „Włodzimierza". Otrzymaliśmy niedawno dokładny życiorys wielkiego artysty i ofiarnego żołnierza, skreślony przez najbliższego mu członka rodziny — przeto podajemy raz jeszcze opis życia naszego bohatera.

Włodzimierz Konieczny urodził się dnia 26 lutego 1886 r. w Jarosławiu, w Małopolsce. Do szkół ludowych uczęszczał w Tarnowie, również do gimnazjum zaczął chodzić w Tarnowie, a następnie we Lwowie (obecne gimnazjum Jana Długosza). Będąc w klasie trzeciej, objawiły się w chłopcu skłonności i walory artystyczne. Im silniej nalegał profesor greki na zgłębianie swojego przedmiotu, stosując metody austrjackie, tem więcej uwydat-

niała się niechęć do gimnazjum, które nie zaspakajało młodzieńczej duszy, wyzwalającej się z pętów biurokratyzmu szkolnego.

Śmierć matki spowodowała intenzywniejsze szukanie dróg prawdy i własnego głosu w pracach rzeźbiarskich i rysunkowych. Po ukończeniu 4-tej klasy gimnazjalnej, oświadcza, że więcej do gimnazjum nie pójdzie, wobec czego przenosi się do lwowskiej szkoły handlowej, aby po roku również tak samo zadecydować.

Będąc jeszcze w gimnazjum, uczęszczał na wieczorne kursa rysunkowe w lwowskiej szkole przemysłowej. Wolne chwile, a przedewszystkiem niedziele i święta, spędza w bibljotece lwowskiego Muzeum Przemysłowego, czytając i studjując

wszystko, co tylko ze sztuką pozostaje w łączności. W tym czasie rzeźbi w glinie szereg postaci i kompozycje, studjum głowy.

Ujemny stan zdrowotny oraz brak warunków do systematycznej pracy nad rozwojem zdolności swoich, wpływają na decyzję opuszczenia Lwowa a szczęśliwy los sprawia, że zaraz w zaraniu zmagań z życiem napotyka Włodzimierz Konieczny Stanisława Witkiewicza, który go bierze ze sobą do Zakopanego. Od tego czasu linja życia młodego rzeźbiarza krystalizuje się, aby zajaśnieć blaskiem niepospolitego talentu i wielkich zdolności.

Kilka lat pobytu w Zakopanem przyczynia się do wzmocnienia zdrowia — chore płuca leczy górskiem powietrzem, a pracując w szkole rzeźbiarskiej w Zakopanem od r. 1901 do r. 1903, zyskuje opinję najzdolniejszego ucznia.

W r. 1903 przechodzi do Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie, studjując rzeźbę u prof. Laszczki, a następnie grafikę u prof. Pankiewicza. We wszystkich konkursach artystycznych bierze żywy udział, zyskując nagrody, uznania i stypendja. Po ukończeniu studjów w r. 1908, otrzymuje Włodzimierz Konieczny stypendjum Urbańskiego, które Akademja przyznawała tylko najwybitniejszym artystom.

Prof. Smolik, kolega z Akademji Sztuk Pięknych Włodzimierza Koniecznego, tak charakteryzuje ten okres życia artysty: („Włodzimierz Konieczny Człowiek i Artysta" str. 12):

„...Jest to okres wytężonej pracy i ciężkiej, nieustannej walki o życie. Potrzeby życiowe Włodzimierza Koniecznego były tak ascetycznie skromne, że mu ta walka o życie wcale nie uniemożliwiała, ani nawet nie utrudniała pracy nad sobą, nie zatruwała mu też duszy goryczą. Pogodnie, nawet z humorem, znosił biedę, okryty zimą i latem podszytą wiatrem peleryną, służącą mu też i nocą za kołdrę, a nieraz i za posłanie. Zdawało się wszystkim, co go wówczas bliżej znali, że t. zw. potrzeby życiowe wogóle dlań nie istnieją.

Oddany całą duszą sztuce, zdobywa sobie już w tym akademickim okresie życia imię w krakowskim świecie artystycznym, jako rzeźbiarz i grafik. Robi ozdoby graficzne do pierwszego wydania „Róży" Katerli (pseudonim St. Żeromskiego), w r. 1909 wypuszcza w świat przy pomocy brata w setce egzemplarzy niezwykle interesującą tekę graficzną, złożoną z siedmiu akwafort i pięciu litografji i modeluje szereg portretów i kompozycji, z których drobna część dochowała się po dzień dzisiejszy w odlewach, a częściej tylko w fotograficznych zdjęciach w ręku rodziny i przyjaciół artysty.

Czyta przytem bardzo wiele, studjuje z zapałem historję sztuki i powszechną, zwłaszcza pamiętniki; osobliwszy zaś urok wywierają nań Słowacki, Krasiński, Cyprjan Norwid i Stanisław Wyspiański. W tym też okresie życia sięga do pióra, nie znajdując widocznie pełnego wyrazu i ukojenia dla swej gorączki twórczej w graficznej i plastycznej twórczości. Drukuje kilka drobnych utworów poetyckich w miesięczniku „Krytyka", wydawanym i redagowanym w Krakowie przez Wilhelma Feldmanna, i komponuje większy symboliczny dramat w 3 aktach p. t. „Wieczny Budowniczy". (W rękopisie znajduje się notatka własnoręczna artysty: „pisane w jesieni r. 1906 i r. 1908 — w Tatrach, pod Wawelem i w Skomorochach").

Zdobywszy to, co w kraju posiąść można, zapragnął Włodzimierz Konieczny kontynuować studja za granicą, a przedewszystkiem w Paryżu. W r. 1909 otrzymuje stypendjum, które mu umożliwia realizowanie planów. Prawie dwa lata mieszka w Paryżu, zapoznając się dokładnie z tamtejszemi skarbami sztuki, pracując bez wytchnienia przy minimalnych środkach życiowych.

Tam, w Paryżu, zapadł na tyfus brzuszny, z którego wyszedł stosunkowo szybko, dzięki organizmowi zahartowanemu w czasie długich wycieczek w Tatrach. W Paryżu komponuje wiersze, drukowane w „Krytyce".

W r. 1911 powraca Włodzimierz Konieczny do Krakowa i bierze udział w Wystawie Kościelnej oraz w drugiej wystawie Rzeźby w Krakowie. Na Wystawie Kościelnej dostaje pierwszą nagrodę

konkursową za posąg Madonny Immaculaty i drugą nagrodę za Madonnę z dziecięciem w płaskorzeźbie. Na tejże wystawie wspólnie z malarzem W. Jastrzębowskim wystawił projekt ołtarza dla wiejskiego kościółka.

Następnie bierze udział w trzeciej wystawie „Rzeźby" w r. 1912 z szeregiem rzeźb, z których tylko część ocalała po dzień dzisiejszy. Równolegle włada piórem, tworząc w tym czasie drugi dramat p. t. „Straceńcy" na tle życia obozowego Lissowczyków.

W tym czasie rozwija się na gruncie krakowskim „Strzelec", założony, zorganizowany i wychowany przez swojego komendanta Józefa Piłsudskiego. Włodzimierz Konieczny, który należał do „Strzelca", będąc jeszcze uczniem Akademji Sztuk Pięknych, zgłosił się zaraz po powrocie z Paryża do jego szeregów.

W dzień mobilizacji „Strzelca" stanął artysta w Oleandrach, jako jeden z pierwszych. W sierpniu 1914 wyrusza w pole z drużyną nowotarską, aby dnia 5 lipca 1916 swoje młode pracowite życie ostatnim czynem zakończyć. W walkach o Polską Górę na Wołyniu, koło Wołczeska, ginie bez śladu na pozycji, bronionej przez Legjonistów do ostatniego tchu. Zginął jako porucznik, komendant 6-ej kompanji 5 pułku, I Bryg. Legjonów Polskich.

W marcu 1919 urządziło Towarzystwo Sztuk Pięknych w Krakowie wystawę pośmiertną artysty, na której zaprodukowano 41 prac, z czego przypadało 20 na rzeźby, 15 na akwaforty i 6 na litografje".

Przyjaciel i kolega artysty — zarówno z Akademji Sztuk Pięknych, jak i z Legjonów, Adam Dobrodzicki, temi słowy scharakteryzował Włodzimierza Koniecznego:

...„W szeregach swych rówieśników zajmował odrębne miejsce nie tylko dzięki talentowi, jak przedewszystkiem z powodu charakteru i wyjątkowej psychyki. Przychodził bowiem do życia z wielką miłością harmonji, dla której szukał w sztuce wyrazu tak wytrwale, że ta wewnętrzna wierność stała się mu tragizmem, skazującym go na trwanie w marzeniu. I to marzycielstwo harmonji odróżniało jego pracę wśród natłoku prób zbyt poszarpanych, w których ciskać się musiało całe jego pokolenie. Usiłowania jego biegły po drodze właściwej jego pokoleniu.

Ramy pracy jego, jego odróżnienie na tej drodze, ograniczała jednak potrzeba harmonji, w której odczuwał wyraz zdrowia. W niej odnajdował wartość i piękno i w niej chciał położyć granice własnego życia. Niewzruszoną równowagą chciał czyn swój wypełnić.

Konieczność odnalezienia związku między prawdą bezpośrednio odczutą, która zjawiła się w formie syntetycznej, a zmiennością potocznego dnia, który przychodził z prostotą realizmu, stanowiła trud jego i źródło jego sztuki. Nie było w nim zatem niecierpliwego poszukiwania stylu, ani zaprzeczenia prawdy życia na rzecz z góry stawianych sobie żądań, lecz chęć wydobycia na wierzch wewnętrznej siły, która najprostsze zjawiska w oczach jego przedstawiała na miarę prawdy ogólnej. Nie było intencją jego odrywanie formy od ideałów, bo wtłaczał w kształt artystyczny odczucia, które w nim w niezaprzeczonej prawdzie turze spotykanych, odpowiedniki swe odnaleźć się żyły, a które w prostocie form rzeczywistych w naturze spotykanych, odpowiedniki swe odnaleźć się starały.

Czyny, pragnienia i tęsknoty były wyrazem jego poczucia zgodności z życiem. Łudził się, że tkwi w prawdzie codziennej, gdy żył w świecie wyobraźni. Doszukiwanie się tożsamości między posiadanem a wyobrażanem, kazało mu żyć w złudzeniu, że zdobywa istotne wartości. Dlatego znajdował udrękę, która zapadała aż na dno wszelkiej myśli i pracy jego. Zwalczało go to marzycielstwo w samym sobie, bo określało ramy jego życiu i wbrew jego dążeniom chorobliwie wyzwalało jego ducha ku doskonałościom, których pragnione wyżyny odrywały go w mgławicę mistycznych tęsknot. Ale wrażliwość jego serca, które chowało ten wielki sen i pracowitość, w której paliła się wola opanowania formy tak trudnej, że odstraszać mogła innych, a wreszcie zdolność poczynania pracy tam, gdzie inni zwykli ją kończyć, wykuwała z niego człowieka tak wyraźnego, że wewnętrzna ta udręka nie mogła go ani ugiąć do bezduszności, ani oderwać w symbolizm. I w tem leży podstawa jego formy rzeźbiarskiej, która jest skojarzeniem dekoracji z prawdą życia.

C. d. n.

RAFAŁ HIRSCH
weteran 1863 r.

Wspomnienia z 1863 r.

Rano zjawił się przysłany ze dworu przewodnik i dał nam wezwanie do wymarszu z maziarni. Wyruszyliśmy w dalszą drogę sprawnie.

Odpoczywaliśmy raz w kniei leśnej i raz gościnnie w jednym dworze szlacheckim, — na noc na odpoczynek skierowano nas do leśniczówki wśród leśnej okolicy.

Dnia następnego odbywał się nasz pochód dalszy, a popołudniu z małemi przeszkodami przekroczyliśmy kordon granicznych słupów.

W godzinę drogi od granicy wjechaliśmy do szlacheckiego folwarku, gdzie nam odebrano konie i broń.

Zaprotestowałem przeciw zabraniu mi konia, powołując się na mój urlop i papier, w którym najdobitniej zaznaczono, że koń jest moją osobistą własnością. Również i rotmistrz potwierdził to zebranym Komisarzom Narodowym w tym dworze.

Ci panowie oświadczyli nam, że ogłoszony jest przez Austrję stan oblężenia i pominąwszy ich odpowiedzialności — nie daleko na koniu dojadę, bo mię Austrjacy zabiorą i przymkną. Za poradą rotmistrza mojego i ze łzą w oku pożegnałem się z moim cisawym i rozstałem się.

Rotmistrz Jaszewski i jeszcze jeden z oficerów naszych, obaj z Kongresówki, pozostali, a nas wpakowano po czterech na cztery wozy i ruszyliśmy do Poddubicc, do pałacu hrabiostwa Łanckorońskich, gdzie rozmieszczono nas w pokojach pałacowych na kwaterę. Zaproszono nas później do sali jadalnej, gdzie zasiadło nas szesnastu do stołu, poczęstowano dość sutą kolacją, poczem rozeszliśmy się na nasze kwatery do spania.

Maciejowski trzymał się mnie, jako najbliższy chwil ostatniej z nim wędrówki, więc obydwaj razem zajęliśmy pokój niewielki, tak zwany w pałacu pokój „marmurowy".

Zapewnieni od alarmów, od wściekle gruchających świstawek alarmowych z okrzykiem: wstawaj do broni! usnęliśmy smacznie.

Rankiem nagle we wszystkich zajętych pokojach przez powstańców wszczął się paniczny ruch z przebieganiem gorączkowem, a półszeptem głośnym: Uciekać jak kto umie, dwór otoczony przez żołnierzy austrjaków i żandarmów!

Ja i Maciejowski zerwaliśmy się na równe nogi. Uciekajmy! wołam na niego, wdziałem gwałtownie kożuszek na siebie, berlaczyki na nogi czapkę moją chłopską na głowę wcisnąłem i tak ubrany, wpadam do kredensu pałacowego, chwytam kawał jakiejś serwetki, uwiązuję sobie szyję i przedpokojami, korytarzykami, gdzie już żołnierze z naflancowanemi bagnetami się wpakowali, strojąc układ służki pokornego i strwożonego chłopaka dworskiego, zdjąłem mą czapeczkę z mojej głowy, przesuwałem się przed żołnierzami (a byli to tak zwani z pułku Stefanków z Bukowiny) aż na podwórze i tam krokiem wolnym, sunąc mojemi na nogach berlaczami po zmrożonej ziemi, oddalałem się od dworu i skierowałem się ku budynkowi stajni pałacowej.

Przed drzwiami stajennemi już stała warta żołnierz z bagnetem na ostro, lecz mi wejścia do stajni nie wzbraniał.

Strwożony furman dworu, zobaczywszy mnie, mówi: Pocoś pan tu przyszedł, stąd ze stajni już pana warta żołnierska nie wypuści — a rewizja zaraz tu się wpakuje.

— Więc proszę mnie — mówię — gdzieś ukryć.

— Ot, kładź się pan pod żłób, kożuszkiem się przykryj i będzie się pan nazywał Jóżko; jak zawołam, pamiętaj pan, Jóżko, to pan wstanie.

Więc wedle jurności furmana tej stajni, położyłem się u koni stajennych pod żłobem.

Rewizja nadeszła. Żandarmi natenczas w czarnych a wysokich „pikelhaubach", żółtym a lśniącym mosiądzem obramowanych, czyniły na nieświadomych trwożliwe wrażenie.

„Sicherheitskommissar" w mundurze c. k. starosty — na czele, a żołnierze z pułku „Stefana arcyksięcia" bagnetami zaczęli przeszukiwać w słomie, w plewie, gdzie tylko podejrzywali ukrycie powstańca.

Furman krzyknął do mnie, leżącego pod żłobem: Jóżko, wstawaj!

Więc zerwałem się z pod żłobu i niby ze snu przebudzony, odwiązuję konia od żłobu i obracam go do korytarza stajni głową.

Furman podchodzi do mnie, wali mnie swoją pięścią w kark: Psiakrew tumanie! — wołał — gdzie konia chcesz prowadzić? Zawróć! Zawróciłem konia napowrót do żłobu i jak najdłużej go napowrót przywiązuję.

W ten sposób uszedłem uwagi żołnierzy i aresztowania.

Ja już do dworu nie powróciłem, bo dwór strzegli austrjacy — zostałem w stajni i tam mię żywiono.

Furman mi tylko opowiadał, że sześciu powstańców uwięzili austrjacy i to tych nieboraków, którzy ukryli się w piwnicy dworskiej. Było ich tam kilku przeziębionych, więc kaszel ich zdradził.

Z towarzyszami ukochanymi, pozostawionymi w pałacu, już się więcej nie zetknąłem, lecz noszę ich serdecznie w pamięci mojej — a co się z Maciejowskim stało, jest mi zagadką nie rozwiązaną.

Trzymano mię w stajni cały ten dzień i jedną noc, a po przebytej nocy bez zmrużenia oka w tej stajni do dnia—wyekspedjowano mnie eleganckim ekwipażem w drogę.

Przed ósmą godziną rano, jadąc leśnemi okolicami, wjechaliśmy na podwórze przed obywatelskim dworem.

Wszedłem do westybulu i nie robiąc sobie skrupułów, ulokowałem się w jednym z pokoi.

Służący wprowadził mię do jadalnej sali.

Pan domu, któremu się zameldowałem, poprosił, bym usiadł, a lokaj podał mi kawę.

Pan, zapaliwszy milcząco wonne cygaro i puszczając z ust swych kilka kłębów niebieskiego dymu, mówi:

— Ja nie pojmuję tego, jak można taką niedorzeczność popełniać i kogoś mi tu przywozić. Tu w karczmie przy drodze ze dworu zakwaterowany jest oficer i coś dziewięciu żołnierzy austrjackich. Przybywających do dworu nie wstrzymują, ze dworu wyjeżdżających bez kontroli nikogo nie wypuszczą. Wczoraj warta żołnierska zatrzymała wózek, uwięziła powstańców, fornal na poczekaniu zaraz w karczmie na stołku otrzymał od oficera dziesięć pałek, — a ja pewnie zapłacę grubą kontrybucję. c. d. n.

Notatki.

Pierwszy Zjazd uczestników boju pod Dytjatynem odbył się w Krakowie dnia 6 kwietnia 1930.

Przewodnictwo Zjazdu objął d-ca boju pod Dytjatynem, ppułk. dypl. Jan Gabryś, który po powitaniu towarzyszów broni, wezwał do uczczenia poległych kolegów w boju pod Dytjatynem przez powstanie, poczem wzniósł okrzyk na cześć Pana Prezydenta Ignacego Mościckiego i Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego.

W imieniu Zjazdu składa podziękowanie p. Kaczorowskiej jako przewodniczącej Komitetu budowy kościółka-pomnika na mogile poległych w Dytjatynie, za jej pełną inicjatywy wybitną obywatelską pracę około budowy pomnika, jak również dziękuje całemu Komitetowi.

Z kolei ppułk. dypl. Jan Gabryś przedstawił i przypomniał obszernie przebieg boju pod Dytjatynem. Uczestnicy z entuzjazmem przyjęli wiernie odtworzony przez ppułk. dypl. Gabrysia obraz boju pod Dytjatynem. Przemówienie, wysłuchane w głębokiem skupieniu, wywarło na uczestnikach Zjazdu potężne i niezatarte wrażenie, każdy bowiem z uczestników w chwili tej mógł wczuć się w sytuację, w jakiej znajdował się przed 10-ciu laty w tej pełnej chwały walce.

Po dyskusji w sprawie uroczystości poświęcenia pomnika, Zjazd na wniosek p. mjr. korp. kontr. Wilhelma Romera, uchwalił dokonać uroczystego poświęcenia pomnika-kościółka, wzniesionego na mogile w Dytjatynie, w dniu 16 września br., jako w dziesiątą rocznicę boju:

uprosić Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ignacego Mościckiego, oraz Pana Marszałka Józefa Piłsudskiego o łaskawe wzięcie udziału w uroczystości;

uprosić wojewodę stanisławowskiego Dra Nakoniecznikoffa-Klukowskiego Bronisława o protektorat nad całą uroczystością;

uprosić Inspektora Armji gen. Burharda-Bukackiego o wzięcie udziału w uroczystości jako byłego d-cę 8-mej dp.

zorganizować przy współudziale Komitetu Budowy specjalny Komitet uroczystościowy, któryby nadał całej uroczystości właściwy i należny charakter z uwagi: *że pobojowisko Dytjatyn uwiecznione jest na Grobie „Nieznanego Żołnierza"* w Warszawie a 4 baterja 1-szego pag. wyróżnioną została przez Pana Marszałka Piłsudskiego mianem „baterji śmierci".

Na wniosek ppułk. dypl. Gabrysia postanowiła garstka pozostałych przy życiu uczestników boju pod Dytjatynem zorganizować się w Związek „Dytjatyniaków", którego celem byłoby zacieśnienie węzła żołnierskiego.

W tym celu Zjazd uchwalił uprosić Pana Ministra Spraw Wojskowych o zezwolenie na utworzenie tegoż Związku opartego na statucie, który ma opracować w terminie do 15 maja komisja.

Po zreferowaniu przez p. kpt. Leona Jędrzejasza sprawy odznaki pamiątkowej boju pod Dytjatynem i przedstawieniu projektu tej odznaki. Zjazd uchwalił zwrócił się do Pana Ministra Spraw Wojskowych z prośbą o zatwierdzenie zaprojektowanej odznaki.

Ze względu na to, że lista uczestników nie jest jeszcze kompletną (około 50 zgłoszonych) wezwano by formacje, których żołnierze brali udział w boju pod Dytjatynem, przesłały adrey wszystkich uczestników na ręce p. Kaczorowskiej. (Lwów, Pełczyńska 7). Wniosek ten został przez Zjazd uchwalony.

Termin następnego Zjazdu został ustalony na dzień 15 września br. na godzinę 10 rano w Dytjatynie.

„Sprawy Narodowościowe" Nr. 1. Rok IV.

Wyszedł nowy numer „Spraw Narodowościowych", który zawiera: pierwszą część pracy p. d-ra Stanisława Orsini-Rosenberga o programie badań socjologicznych w zakresie zagadnień narodowościowych w województwach wschodnich, artykuł p. dra Mikołaja Kowalewskiego, przedstawiający syntetyczne przemiany zachodzące w sowieckiej polityce narodowościowej, p. M. Felińskiego dający szczegółowe informacje o stanie prasy ukraińskiej w Polsce oraz p. dra Jerzego Gliksmana o strukturze zawodowej ludności żydowskiej w Polsce.

Poza tem zawiera bogatą kronikę, dotyczącą mniejszości narodowych w Polsce, kwestyj narodowościowych poza Polską, oraz notatki sprawozdawcze z działalności Instytutu Badań Spraw Narodowościowych. Kończy numer Bibljografja, dotycząca mniejszości narodowych w Polsce za rok 1929.

Do nabycia w księgarniach i administracji „Spraw Narodowościowych", Warszawa, ul. Nowy-Świat 21, m. 4. — Cena 5 zł.

Jeszcze nabyć można — po cenach wyjątkowych:

Józef Piłsudski o Sobie (wyd. Panteonu Pol.) Cena 8 zł. — A. Błotnickiego: Przez rewolucję 1905 do Legjonów 1914 r., Lwów, nakładem Panteonu Polskiego. Cena 1.50. — M. Lityńskiego: „Z dni zgrozy i walk o wolność". Cena 3 zł. — Z. Zygmuntowicza: „St. Król-Kaszubski", oficer I Bdy powieszony w 1915 r. przez Moskali. Cena zł. 1.20. „Lwów Nasz" — dzieje walk i odsieczy Lwowa. Cena 1 zł. — Bibljografiezne zestawienie artykułów i ilustracyj roczników „Panteonu Polskiego" z 1924—1929 r. Cena zł. 2.50. — W przygotowaniu: Życie i czyny śp. T. Żulińskiego, por. I Bdy poległego w 1915 r.

Zamówienia przesyłać do administracji „Panteonu Polskiego", Lwów, Skrytka 98.

Póki zapas starczy!!

W Lipcu wyjdzie zeszyt o większej objętości — poświęcony rocznicy *6 sierpnia.* — Prosimy o nadsyłanie artykułów i zamówień do dnia 15-go lipca br.

Wyrównania zaległości za 1-sze półrocze i wpłacenia należności na 2-gie półrocze oczekujemy do 10 lipca br.

Po tym terminie wstrzymamy dalszą wysyłkę.

Zeszyt 2. Tomu II „Przeglądu Historyczno-Wojskowego", czasopisma wydawanego przez Wojskowe Biuro Historyczne zawiera:

Dr. Aleksander Czołowski: Ikonografja wojenna Jana III. Jest to zestawienie i krytyczny opis obrazów i rycin, które powstały w czasie panowania Jana III lub później, ale na podstawie współczesnych materjałów, przedstawiających bitwy i sceny wojenne, plany bitew, oblężeń, twierdz, obozów warownych. Wybrał z nich autor tylko takie, które dla badacza wojskowości polskiej posiadają istotną wartość. Mjr. dypl. Roman Umiastowski w pracy: Plany wyprawy Napoleona do Indyj — przedstawił dążenia i plany Napoleona dotarcia do Indyj. Autor przedstawił niezwykle interesująco dążenia Napoleona kierującego myśl swe ku drogom lądowym, pertraktacje z Pawłem oraz projekt wyprawy przez Rosję w 1800 r., nie łusznie według Umiastowskiego przypisywany przez historyków rosyjskich Napoleonowi.

W dziale miscellaneów dr. Kazimierz Tyszkowski rozważa problemy organizacyjno-wojsko z czasów Zygmunta III, ogłaszając niezmiernie ciekawy projekt hetmana Żółkiewskiego „O chowaniu żołnierza kwarcianego" jaki został przedłożony w sejmie 1616 r. wyszczególniający sposoby utrzymania wojska kwarcianego w karności i na takim poziomie, aby stanowić mogło nieprzepartą zaporę dla napadów pogańskich. Dr. Janusz Woliński ogłosił relacje Dymitra Wiśniowieckiego z kampanji 1667 r. Kpt. dr. Jan Giergielewicz podał interesujące i prawie zupełnie nieznane materjały do umocnienia i obrony Warszawy w powstaniu Kościuszkowskiem.

W dziale artykułów dyskusyjnych prof. Włodzimierz Antoniewicz poruszył sprawę inwentaryzacji i badań grodzisk na ziemiach Polski. Mjr. dypl. dr. Stanisław Biegański przedstawił metody badania historycznego a Rosji Sowieckiej. Dział recenzyj zawiera sprawozdania por. Ottona Dąbrowskiego z pracy Durera „Premiers combats de la Suisse primitive pour la liberte": mjr. Antoniego Hnilki z pracy Rathgena „Das Geschütz im Mittelalter"; Janusza Starzewskiego z pracy Wilaume a „Amilkar Kosiński" oraz dr. Józefa Dutkiewicza z pracy Frejlicha — „Operacje rosyjskie między Narwią a Dolną Wisłą w lipcu 1831 r. Przejście armji Paśkiewicza przez Wisłę, pod Osiekiem. Pozatem dział kroniki.

REDAKTOR ODPOWIEDZ. Z ZYGMUNTOWICZ. ADR. RED. I ADM. LWÓW, SKRYTKA 98 — TEL. 22.90.
KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. CYNKO-GRAF. „ARS", SYKSTUSKA 32. — DRUK. „SZTUKA", PLAC STRZELECKI 2.